

Polska pod presją

O naporze neomarksizmu na Polskę, fałszowaniu historii, napastliwości lewicowych elit na katolicyzm i ich wizji świata oraz obrazie naszego kraju na Zachodzie Jakubowi Maciejewskiemu opowiada **prof. Andrzej Nowak**, historyk, sowietolog, publicysta, wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek Kolegium IPN

Polacy często komentują zły wizerunek Polski za granicą, pojawiające się tam określenia typu „polskie obozy koncentracyjne” czy oskarżenia o rzekomy antysemityzm. Tymczasem z opinia Zachodu o Polsce jest chyba jeszcze gorzej?

Andrzej Nowak: W historiografii uniwersyteckiej „postępowych” uczelni (zgodnie z reformą ministra Gowina musimy ją naśladować) dominuje myślenie powtarzające schemat marksistowski. To przynosi skutki także w postrzeganiu naszego kraju. Powtarzanie haseł o klasach ciemionych musi wywoływać podziw dla „projektu modernizacyjnego” PRL. Mówimy o tej samej szkole interpretacji dziejów, która „na obecnym etapie” każe głosić potrzebę wyzwolenia klasy kobiet spod jarzma klasy mężczyzn wyzyskiwaczy, co podkreśliła ostatnio np. pani Agnieszka Holland. Reżyserka mówiła, że ze względu na wielowiekowy ucisk płci żeńskiej należałoby na trzy pokolenia odebrać mężczyznom prawo głosu. Pani Holland powtarza pomysły ideologiczne kompletnie oderwane od historycznej rzeczywistości polskiej. Przecież właśnie w II RP kobiety zyskały prawa wyborcze jako jedne z pierwszych na świecie, potwierdzając tym zresztą swoją kluczową rolę w walce i pracy nad odzyskaniem niepodległości.

Zachód chce więc atakować nas na tych płaszczyznach, w których akurat niewiele można nam zarzucić.

Zagadnienia skupione wokół idei modernizacji Polski opierają się na teorii walki klas, co prowadzi niektórych historyków do zachwytów nad stalinizmem w Polsce. Zgodnie z takimi kryteriami np. autor najpopularniejszej dziś na amerykańskich uczelniach syntezy dziejów Polski Brian Porter-Szücs przedstawia Bolesława Bierutę nie jako komunistycznego aparatczyka, brutalnie zarządzającego z ramienia Stalina sowietyzacją Polski, ale właśnie jako sprawnego modernizatora, wyzwoliciela Polski z wielu „fatalnych obciążeń” jej tradycji.

Co pozytywnego można znaleźć w półanalfabecie wydającym decyzje o morderstwach tysięcy polskich bohaterów?

Bardzo ważnym powodem takiej oceny jest walka z Kościołem. Dzięki Bierutowi nareszcie – zdaniem wspomnianego wpływowego historyka – biskupi katolicki zostali stłamszeni. Taki „błogosławiony” okres trwał, niestety – z perspektywy postępowego badacza – tylko w latach 1949–1956. W wizji historii, w której to Kościół katolicki jest największym wrogiem, odpowiedzialnym za antysemityzm i ciemnotę, można usprawiedliwiać nawet najsurowsze represje. Do tego dochodzi nienawistne spojrzenie na tradycję narodową w ogóle (a polską w szczególności), w której elity akademickie i medialne nadające ton „dyskursowi” władzy nad słowami, wskazują drugie, obok religii katoli-

ckiej, główne źródło wszelkiego zła: wojen, nienawiści, zabijania sąsiadów.

Trudno to zrozumieć. Autorzy mający dostęp do archiwów, znający fakty, potrafią tak się rozmijać z rzeczywistością? Nasuwają się na myśl całkiem niezli historycy pokroju Anne Applebaum, Timothy’ego Snydera czy Timothy’ego Gartona Asha, o Normanie Daviesie nie wspominając, którzy znają przecież naszą historię, a o współczesności potrafią wypowiadać bzdury.

Ideologia zaślepia. W imię postępu, walki z ciemnogrodem można zamykać oczy na rzeczywistość historyczną w całej jej złożoności i widzieć tylko „kolonizatorów”, „oprawców”, „sprawców” po stronie polskiej, żadnych natomiast ofiar czy – tym bardziej – bohaterów. Anne Applebaum w swoich znakomitych książkach, np. o Gulagu, dostrzega ofiary komunistycznego systemu, ale – przypomnijmy – do mainstreamu akademickiego raczej nie należy. Jest przez swoich lewackich krytyków z uniwersytetów traktowana często jako „kontrowersyjna publicystka”. Timothy Snyder, niewątpliwie jeden z filarów badań nad naszym regionem, stara się całkowicie „odnarodowić” swoją opowieść o ogromnych ofiarach, jakie spowodowało tutaj panowanie Hitlera i Stalina. Oczywiście robi to w intencji ucieczki od narodowych narracji, w imię ogólnoludzkiej perspektywy współczucia dla cierpiących. To jesz-

cze pozwala mu jako funkcjonować w ramach owego akademickiego mainstreamu, choć przecież taka, na pewno humanistyczna i piękna perspektywa, zafalszowuje rzeczywistość historyczną, w której Stalin kazał zabijać setki tysięcy Polaków nie dlatego, że byli ludźmi, tylko dlatego, że byli Polakami, że identyfikował ich jako wrogów narodowych. Tak samo jak Hitler, który właśnie dlatego zabijał Polaków i dlatego zabijał Żydów, bo identyfikował ich narodo-wo. Norman Davies, który sparzył się już dawno na próbie przypomnienia polskich ofiar z czasu II wojny i porównywania ich skali z Holocaustem, od dawna już uprawia bezpieczne opowieści o historii transnarodowej takich miast jak Wrocław. We współczesnym świecie akademickim jednak nie oni nadają ton, ale neomarksistowska wizja walki w imię „postępu” z „przeżytkami” staro-go: katolicyzmem, religią w ogóle, narodem, tradycyjnie pojmowaną rodziną jako formami zniewolenia. Trzeba nas zmodernizować, więc modernizuje się zgodnie z takim schematem przeszłość.

Ależ to jest gorsze niż stosunek do krajów afrykańskich. Dziś nikt by nie śmiał doceniać modernizacji murzyńskich plemion w okresie kolonializmu, choć przecież państwa Zachodu – choć brutalnie i przelawszy rzenię krwi – niosły tam jakąś wyższą cywilizację. O tym, co się działo w Polsce po II wojnie światowej, nie da się tak powiedzieć!

I tu jest pies pogrzebany. Na Zachodzie nie ma świadomości, że Polska była krajem poddanym imperialnej eksploatacji ze strony Prus, Rosji carskiej czy Austrii – eksploatacji materialnej i symbolicznej (kulturowej), która można i trzeba traktować w kategoriach kolonialnych. W dodatku, co jest już szczytem absurdu, pozbawione w wieku XIX niepodległości i kolonizowane w ten sposób kraje naszego regionu obciąża się współwiną za europejską kolonizację innych kontynentów dokonaną właśnie w owym stuleciu, kiedy Polski w ogóle nie było na mapie. Bułgaria była przez sześć wieków pod kolonialnym pano-

waniem Imperium Osmańskiego, podobnie jak – nieco krócej – połowa Węgier, a jednak Polska, Węgry, Bułgaria są w tej „politycznie poprawnej” wizji win Europey wobec świata traktowane tak samo, a nawet gorzej niż np. taka Belgia, która rzeczywiście odpowiada za wymordowanie kilkunastu milionów mieszkańców Kongo w końcu XIX w., czy Francja, która kolonizowała wyjątkowo brutalnie całą Afrykę Północną czy Indochiny. Ale to nie Bruksela, z pomnikami na cześć belgijskiego króla ludobójcy mieszkańców Afryki, tylko Polska i inne kraje „młodszej” Europy są oskarżane najbardziej namiętnie o kolonializm. Podobnie jak nie Niemcy, ale Polska staje się dziś niemal głównym sprawcą Holocaustu.

Czyli nie tylko w przypadku II wojny światowej z roli ofiar stajemy się katami.

Z jednej strony elitom I Rzeczypospolitej wmawia się budowanie imperium kolonialnego, a z drugiej pomija się kolonializm Imperium Rosyjskiego – nie tylko sowiecki, lecz także ten wcześniejszy,

Foto: J. J. J. J. J.



carski czy imperialno-kolonialny stosunek elit pruskich wobec polskich, słowiańskich peryferii (czyli Wielkopolski, Pomorza, Śląska). W oczach uniwersytecko-medialnego establishmentu współczesnego Zachodu Polska jest wyłącznie kolonizatorem.

Dlaczego temat „imperium” jest przedmiotem tylu manipulacji?

Celowo się zapomina o imperializmie jako kluczu do najgorszych wydarzeń w historii Europy z dwóch powodów. Po pierwsze, przypomnienie imperializmu niemieckiego czy rosyjskiego może budzić niebezpieczne pytania o dzisiejszą rzeczywistość i tkwiące w niej wciąż pokusy imperialnej polityki. Po drugie, Bruksela na ławie oskarżonych woli sadzać narody Europy Środkowo-Wschodniej, np. Polaków czy Węgrów. Dla dzisiejszych mocarstw europejskich, członków dawnego „koncertu imperiów”, wygodniej jest przedstawiać wyłącznie tożsamość narodową jako źródło wojen i konfliktów. Jest to obraz uproszczony, pomijający głównego sprawcę największych nieszczęść świata i Europy, czyli właśnie działań wielkich imperiów. III Rzesza czy Związek Sowiecki nie miały charakteru narodowego, miały ambicje podbojów dalece przekraczające historyczne czy kulturowe granice. Podobnie ponuro wypada wspomniane już przeze mnie wyjątkowo ohydne i zupełnie nienarodowe imperium króla belgijskiego, którego wizja potęgi kosztowała życie kilkunastu milionów mieszkańców Afryki Środkowej. Łatwiej powiedzieć: źródło zła leży gdzie indziej: w tej „gorszej”, wschodniej Europie, w ich nacjonalizmach, w ich tradycjach, które trzeba wykorzenić.

Wygląda na to, że Zachód jednomyślnie pogardza narodami naszej części Europy.

Wykrzywienie obrazu Polski nie jest wszędzie identyczne. Najgorzej pod tym względem jest we Francji. Polskę kojarzy się tam w dziełach historycznych i medialnym przekazie właści-

wie tylko z antysemityzmem. Gdy odwiedziłem ostatnio jedną z największych paryskich księgarni, zwróciło moją uwagę, obok szafy z kilkuset książkami o historii Rosji (przeważnie pozytywnie nastawionych do jej kultury i tradycji politycznych, od Katarzyny do Trockiego), sześć pozycji, jakie znalazłem tam o historii Polski. Właściwie wszystkie o krwiożerczym polskim antysemityzmie, w tym nawet takie cudo jak praca o aktualności w III RP problemu mordów rytualnych. Nie ma tutaj żadnego kontrpunktu, że jest w polskich dziejach cokolwiek poza zbrodniczą nienawiścią do Żydów.

Spadkobiercy członków
politbiura PZPR, mieszkańców
alei Róż, twórców swoistej
kultury budowanej przez
Bolesława Bieruta, Jerzego
Borejsę, Włodzimierza
Sokorskiego i ich następcy
wciąż chcą nas leczyć
i wychowywać

We Francji jest najgorzej, a gdzie jest lepiej?

Pod tym względem najlepiej jest w Niemczech. Tam historiografia jest niezwykle bogata i różnicowana, a część badaczy nie ulega sztywnej poprawności politycznej. Jeden z młodych historyków niemieckich, Daniel Browing, wydał np. niedawno znakomitą książkę o zbrodniach niemieckich popełnianych masowo przez Wehrmacht na polskich chłopach. Choć oczywiście dominują obrazy naszej historii zgodne z opisanym wyżej schematem, to jednak jest także sporo książek pisanych z rzetelnością naukową, bez ideologicznych kłapek na oczach.

Świat anglosaski istnieje gdzieś pomiędzy tymi biegunami. Obok takich, przeważających niestety liczbowo zjawisk, jakie opisałem na przykładzie prac Portera-Szücsa, są przecież znakomite książki np. Roberta Frosta pokazującego tradycje unii, Richarda Butterwicka wnikliwie analizującego reformowanie się Rzeczypospolitej w XVIII w. albo właśnie Timothy'ego Snydera, który pokazuje skalę represji na ziemiach m.in. Rzeczypospolitej w pierwszej połowie XX w. Uważam jednak, że największy nacisk na prostowanie historii powinniśmy położyć we Francji.

Dlaczego akurat tam czarna propaganda o Polakach znalazła najbardziej podatny grunt? Francuzi kojarzą nam się jako sojusznicy, nawet jeśli się nie lojalnie zachowali w 1939 r., to jednak podczas I wojny światowej czy wojny z bolszewikami, ale też i we wcześniejszych wiekach, byli nam bliżsi politycznie niż sąsiedzi.

Nad Sekwaną narodziła się ta skrajnie zideologizowana forma oświecenia, która wymyśliła pojęcie Europy Wschodniej jako gorszej, zacofanej części kontynentu, którą trzeba mentalnie podbić, wychować, wyleczyć. Z tym wiąże się, od czasów Woltera, zestaw stereotypów, w którym lokuje się gdzieś w „ciemnym tłumie spod Jasnej Góry” wszystkie niechęci i upatrjuje się w nim największych zagrożeń dla światła rozumu. Swoją rolę odegrał też wówczas niewątpliwie Wielki Wschód masonerii, w katolicyzmie wskazujący najgorszego wroga. To okrzyk Woltera: „Écrasez l'infame!” – „wymażmy tę hańbę”, czyli Kościół katolicki, był wezwaniem do ataku na polską tożsamość historyczną zakorzenioną w łączności z Kościołem, z katolicyzmem, z chrześcijaństwem. Wtedy wykreowany został obraz polskiej szlachty, konfederatów barskich, fanatyków i koltunów, którzy chrzcili miecze przed swoją „czarną boginią” na Jasnej Górze. Mimo upływu ponad 250 lat ten obraz Polaków, jako w większości ciemnych prymitywów,

w oczach „postępowych elit” spod znaku „Le Monde” czy innych medialnych gwiazd oświecania Europy, jest nadal podobny. W tym kontekście dopiero można zrozumieć skrajnie antypolskie wystąpienia prezydenta Macrona. Pamiętajmy także, że Francja leczy swój kompleks II wojny światowej, ówczesnego, skrajnie łajdackiego stosunku do Żydów, wskazywaniem winnych gdzie indziej, właśnie nad Wisłą.

Podobny obraz Polski mają nasze rodzime elity spod znaku lewicowo-liberalnych mediów i uniwersytetów. Czy ich percepcja jest jedynie kopia zachodnich stereotypów, czy ma również inne korzenie?

Myślę, że jest to przede wszystkim echo kompleksu papugi, o którym pisał Juliusz Słowacki, powtarzającej to, co już wymyślili dla nas, nie tyle za nas, ile właśnie dla nas, ci lepsi i mądrzejsi nauczyciele z Paryża, Brukseli czy Berlina. Nałożyła się na to jeszcze specyfika polskiego doświadczenia jednej z odnóg oświecenia, która przyszła do nas już nie z Zachodu, ale ze Wschodu, z Moskwy. Komunizm oddziaływał na kilka pokoleń mieszkańców naszego kraju, w szczególności przez 45 lat PRL. Wyrosły tutaj osobliwe elity, związane z panowaniem tej ideologii moskiewskiego wariantu oświecenia, które musiały walczyć, czasem dosłownie, kolbami sowieckich karabinów, pałkami ubeckich katów, piórem pismaków „Trybuny Ludu” i słowem dziennikarzy takich jak Urban – o utrzymanie swojego uprzywilejowanego statusu, statusu symbolicznych panów „tego kraju”. To ostatnie określenie weszło do zasobu języka wielu Polaków, którzy wierzą w jakąś gorszość Polski, do której postęp musi przyjść z zewnątrz. „Ten kraj” ma tylko złe tradycje, trzeba je tutaj z „polactwu” wybić z głów kolbami karabinów lub przynajmniej pedagogiką wstydu.

Krytykowanie własnej wspólnoty i szukanie słabości we własnej tożsamości nie jest niczym złym.

Problem w tym, że piewcy historii krytycznej, która kwestionuje zasługi naszej wspólnoty, sami siebie w roli krytykowanych nie widzą. Niektórzy z nich przejawiają pogardę dla złożoności polskiej tożsamości narodowej, dla Rzeczypospolitej – albo jej nie rozumiejąc, albo nie próbując jej poznać. Polskość kojarzy im się

Ideologia zaślepia.

W imię postępu, walki z ciemnogrodem można zamykać oczy na rzeczywistość historyczną w całej jej złożoności i widzieć tylko „kolonizatorów”, „oprawców”, „sprawców” po stronie polskiej, żadnych natomiast ofiar czy – tym bardziej – bohaterów

tylko z zabijaniem sąsiadów, z czymś gorszym, żeby już nie używać słów o „nienormalności” wypromowanej przez jednego ze współczesnych polityków. Sami uważają się za „zdrowych”, za terapeutów nawet, chcą nas „wyleczyć” z polskości nie tylko w ramach oświeceniowego projektu, któremu naród stoi na przeszkodzie, lecz także w wyniku wewnętrznych uwarunkowań, w których narzucone niegdyś, w 1945 r., elity, teraz ich dzieci i wnuki, trzymają się swojej pozycji za wszelką cenę. Spadkobiercy członków politbiura PZPR, mieszkańców alei Róż, twórców swoistej kultury budowanej przez Bolesława Bieruta, Jerzego Borejszę, Włodzimierza Sokorskiego i ich następcy wciąż chcą nas leczyć i wychowywać.

Rozmarwiamy o destrukcyjnych nurtach, które powstały 300 lat temu, jak w przypadku oświecenia, lub 150 lat temu, jak w przypadku

komunizmu. Ale współczesność przynosi nowe szaleństwa...

Warto przytoczyć pojęcie, które w polszczyźnie upowszechnił niedawno Jarosław Kaczyński. Ojkofofia, bo o niej mowa, to nienawiść do własnego domu, wspólnoty, otoczenia. Obecnie to zjawisko poszerza tę nienawiść dalej niż do narodu – do całej ludzkości. Na forum współczesnego trybunału lewicowych intelektualistów staje już nie tylko Polak, nie mężczyzna uciskający kobiety, lecz człowiek w ogóle, który musi wysłuchać pieśni płaczu i buntu krów w oborach, zarzutów o emisję dwutlenku węgla czy w ogóle wyrzutu związanego z tym, że samym swoim życiem zostawia trujący „śląd węglowy”. Jestem w stanie zrozumieć deklarację, by nie jeść mięsa dla dobra natury i oszczędzenia cierpienia stworzeniom, ale posunięcie tego dalej prowadzi do apelu o zbiorowe samobójstwo ludzkości. Wszystko staje się podejrzane, szkodliwe dla natury doprowadzonej do rangi nowego, najważniejszego bożka, a straszliwym złem staje się nawet posiadanie dzieci. Jeśli uśmiech niemowlaka, największe błogosławieństwo, jakim jest rodzicielstwo, staje się celem ataków, bo ma być związane z katowaniem roślin czy cierpieniem zwierząt, to znaczy, że wchodzimy właśnie w fazę samobójstwa ludzkości, że dochodzimy do kresu.

A co jest za tym kresem?

Przeszliśmy może już ten punkt krytyczny, po którym w człowieku budzi się instynkt przetrwania. Coraz więcej środowisk czy ruchów społecznych, przypomniawszy sobie o tak oczywistych sprawach, jak to, że rodzina jest potrzebna, a rodzicielstwo to warunek przetrwania nas wszystkich, zaczyna stawiać opór śmiertelnemu zagrożeniu ze strony coraz bardziej skrajnych lewicowych ideologii. My także musimy się włączać w tę reakcję obronną, najlepiej zaczynając od własnego podwórka, od wspólnoty Polaków, od swojej rodziny, swoich dzieci, od siebie.